

# Jak wygląda mój dzień powszedni

Ktoś kiedyś mnie zapytał, jak właściwie wygląda mój dzień powszedni. Oczywiście pamiętam kto i kiedy, ale nie powiem, ten ktoś, o ile to przeczyta, będzie wiedział i to niechaj wystarczy. A jak wygląda mój dzień powszedni? W pierwszym odruchu chciałam odpowiedzieć, normalnie. Ale już w drugim zastanowiło mnie, co to znaczy "normalnie"? Dla królowej angielskiej jej dzień powszedni też przebiega normalnie, a przecież zasadniczo różni się od mojego!

O ile dobrze pamiętam - z przeczytanej na 90. urodziny Elżbiety II jej biografii - królową budzi o 9 rano specjalna dama dworu wkraczając do sypialni królowej i podając jej do łóżka porridge, czyli owsiankę i podczas gdy królowa je (spożywa?), służba przygotowuje jej kąpiel. Ja swoją poranną owsiankę, czyli kawę, robię sobie sama. I nigdy nie piję a tym bardziej nie jem niczego w łóżku. Ciężko chora pijam w łóżku co najwyżej herbatę i nie jem wcale. Lżej chora do jedzenia wstaję.

Na godzinę 10 królowa udaje się na naradę z nadwornymi doradcami, którzy informują ją o najnowszych wydarzeniach w kraju i za granicą. Dostaje też do swojej czerwonej skrzynki różne dokumenty do przejrzania, które sumiennie przegląda, żeby wyrazić swoją opinię. Ja o godzinie 10 już dawno jestem na nogach - wstaję między 5 a 7, zależnie od tego, czy położyłam się wcześniej czy później. Natychmiast po wstaniu ścielę łóżko. Jeśli tego nie zrobiłam, to znaczy, że w pościeli spał kot. A właściwie kotka. A właściwie kotka z kocieciem. Nie przeganiam ich, wyśpią się, to pościelę.

Kąpię się co najwyżej wtedy, gdy jestem chora. A i to niechętnie. Zwykle biorę prysznic i to zazwyczaj od stóp do głów (od głowy do stóp?). Przez całe życie praktycznie codziennie myłam głowę, od jakiegoś czasu niekoniecznie codziennie, czasami co drugi a nawet co trzeci dzień. A to z tej przyczyny, że łatwiej się teraz przeziębiam, a że rano wychodzę na spacer z psem, z głową ledwie podsuszoną nie chcę wychodzić na chłody, bo już nieraz wracałam chora. Ale latem wychodzę z mokrą głową, wrócę, będzie sucha.

Z rana pijąc pierwszą i drugą kawę, słucham telewizyjnych wiadomości, tyłem do telewizora, bo przodem siedzę zwrócona do monitora i przeglądam onet.pl i Wikipedię (kalendarium). I udzielam się na fejsie. Do 10/11 w tzw. międzyczasie wyszłam już byłam z psem i - nierzadko - do pobliskiego sklepu lub na nieco dalszy placzyk handlowy na zakupy, ten sam, na którym prawie do śmierci robiła zakupy noblistka Szymborska.

Po powrocie jem śniadanie zerkając na fejsa już tylko z doskoku, gdyż poza tym zaczynam się krzątać koło "gospodarstwa", czyli wykonuję różne domowe robotki, odkurzanie, pranie, prasowanie i wszystko inne, co akurat prosi się, żeby to zrobić. Jak się nie prosi, to nie nalegam, niech dojrzeje. Koło "gospodarstwa", czyli po pałacu królowej, krząta się sztab zaufanych ludzi, czyli dwór, Elżbieta II tego nie robi, dla niej "gospodarstwo" to Commonwealth.

Dla mnie to nasz mały trzypoziomowy trzypokojowy domek z furtką i podjazdem przed i ogródkiem za domem. Ogródkiem wielkości znaczka pocztowego, za to im bardziej w lato, tym bardziej tajemniczo zarośniętego. Koło

października pewien nasz osobisty zaufany ogrodnik ogarnie ogródek przed zimą. Niekoniecznie przed każdą.

Zwykle między 11 a 12 zaczynam robić coś "dla siebie", czyli czytam, piszę, lub oglądam jakiś film (po polsku lub niemiecku), jakieś filmiki (w różnych językach, zależy o kim?, o czym?), zależy jaki temat mam na tapecie. Jeśli wiem, że wieczorem (lub już po południu) mam jakieś wyjście (spotkanie, zebranie SWOR-u, wernisaż, wykład, czy - coraz rzadziej - teatr, koncert), to wkurza mnie to tak bardzo, że nie jestem w stanie pisać, wtedy poprzestaję na czytaniu.

Czytam i piszę, a to znaczy, przerabiam tematy *en bloc*. Jak się uczeję jakiegoś tematu lub autora, to tak długo się tym zajmuję, aż dochodzę do takiego stopnia nasycenia, że mogę sobie powiedzieć, ok, przedtem nie wiedziałam prawie nic, a teraz już wiem cośkolwiek. Czasami to "cośkolwiek" przelewam na papier (dziennik), lub do komputera (artykuły, eseje, recenzje... na Sofijon). Zwykle jest to stos książek plus filmy (dokumenty i fabularne) do kompletu. Książki i filmy na DVD dokupuję przez internet (lub, acz coraz rzadziej, w sklepach fizycznych).

Odkąd funkcjonuje internet, podchodzę do tematów multimedialnie. Ma to swoją dobrą i swoją złą stronę. Dobra jest taka, że zatapiam się w temacie głęboko jak nurek w morzu, zła, że jestem obecna ciałem, ale nieobecna duchem. Czasami słyszę, że z brzegu ktoś woła moje imię. Ach, to moja (młodsza) siostra, która o 7 rano wychodzi, a wraca między 13-14. Wtedy się, z niejakim trudem, wynurzam. Jasna cholera, kto mnie woła, czego chce!?

Aha, nie powiedziałam tego, więc czas powiedzieć kto to "my". Od 10 lat dzielimy z siostrą razem jeden dom, rok po śmierci mamy, obie bezdzietne singielki (niechże będzie nowocześnie!), połączyłyśmy swoje losy. *Piano nobile*, że tak to szumnie ujmę, to salon z kominkiem połączony z kuchnią i jadalnią oraz WC.

Piętro II czyli *de facto* poddasze, to nasze dwie sypialenki, moja z balkonem na ogród a właściwie pełne starych drzew, sosen, świerków, orzechów, kasztanowców, klonów, bzów ogrody, widok mam jak w Zakopanem, za to siostry większa z oknem na ulicę, spokojną bronowicką uliczkę domków jednorodzinnych, od wiosny do jesieni skąpanych w zieleni i kwiatkach, zaś dalej na nowoczesne, dość niedawno pobudowane apartamentowce i biurowce, co trochę przypomina Los Angeles, a nie Kraków. Oraz łazienka-salon, duża jak pokój, z wanną XL, prysznicem, łazienkowym marmurowym stolikiem, półkami, lustrami i ścianką między wanną a muszlą klozetową, i w ogóle full wypas, niespodzianka domu.

Parter to pierwotnie garaż z bramą na podjazd i ulicę za wysokim parkanem, z pomieszczeniem gospodarczym od strony ogrodu, przez nas w całości przekwalifikowanym na bibliotekę oraz, po trosze, magazyn rzeczy niemieszczących się w pokojach. Wszystko razem połączone jest wewnętrznymi drewnianymi schodami. Nie mamy strychu ani piwnicy. Jedynie pod dachem niewielką przestrzeń, oraz schowek pod schodami na parterze. W całym domu jest kilka wbudowanych szaf.

Naszymi współmieszkańcami są dwa koty i pies. Koty w aktualnym wydaniu to Milunia i jej czterotygodniowa córeczka Wisia. Tak, tak, Wisia (Wisiunia, Wisełka, Wisienka) od Wisławy Szymborskiej, świeć Panie nad jej duszą

i nie daj jej się obrazić za ten wybór imienia dla kota, zresztą nie wierzyła w Ciebie, ale wierzyła w koty, więc chyba nie przewraca się w grobie?

No bo Wisia miała być Miłozsem, wydawało się nam, że jest kocurkiem, ale okazała się być koteczką, a jeśli kotka o poetyckim imieniu, to Wisia. Lilunię (Lilkę) już miałyśmy, Filunię (od tego, że taka filigranowa) straciłyśmy niedawno, Milunia, bo milutka, a że Milunia, kotka bezimienna i bezdomna, okazała się być przy nadziei, trafiła się nam Wisia jak wisienka na torcie, jedno wykluło się z drugiego.

Nasz pies wabi się Dandys. To stare wilczysko ze schroniska, gdzie trafiło po miesiącach spędzonych na ulicach Chrzanowa. Dandys nastał u nas ponad dwa lata temu po śmierci ze starości naszego poprzedniego psa, Amosa, "białego wilka" o imieniu od pisarza Oza, psa prosto z ulicy małego galicyjskiego, niegdyś polsko-żydowsko-ukraińskiego miasteczka, takiego, z jakiego pochodziła rodzina Oza (jego książki, a szczególnie autobiograficzna "Opowieść o miłości i mroku", och!). Dandys, bo wyglądał jak klasyczny kloszard. Z tego powodu początkowo miał być Łelbkiem, ale któżby wiedział, że za tym dziwnym brzmieniem kryje się sam Houellebecq, gwiazda literacka Francji? Genialny (i uwielbiany przez mnie) Houellebecq, dziś na oko dość zlachmycony życiem, ale że kiedyś nosił się jak dandys, wszystko się zgadza.

Dom z ludźmi i zwierzętami wymaga dość dużo zabiegów porządkowych. Tym zajmuję się głównie ja, bo moja siostra do porządków "nie ma ręki". O wiele bardziej do zakupów. Po kobiecemu lubi sklepy. Stąd sprzątam raczej ja, siostra raczej robi zakupy, bo ja "włóczenia się po sklepach" (za wyjątkiem księgarń) nie lubię. Nie żeby ortodoksyjnie, ale ten podział obowiązków sprawdza się nam przeważnie.

Jeśli chodzi o porządkowanie, to zwłaszcza Dandys przysparza mi sporo roboty, bo wytraca sierść nieustannie, jak mała fabryka dywanów. Jeśli go wycesać, to włosy mu po prostu rosną odpowiednio błyskawicznie. Przynajmniej takie mam wrażenie. W każdym razie szybciej, niż ja odkurzam. Trudno, albo zwierzęta, albo porządek, mówię sobie i sprzątam, gdy dom się o sprzątanie prosi. Nieregularnie. Zresztą czy ja cokolwiek robię regularnie? Od dziecka nie cierpiałam powtarzalności, rutyny, monotonii. Także w sprzątaniu jestem nieprzewidywalna, raz wytrzymuję większą ilość brudu (psiego włosia, kurzu), innym razem rzucam wszystko i łapię się za odkurzacz i ścierkę. Nieregularność mam w gwiazdach (najwidoczniej).

Jedyne, co robię zawsze, to sprzątanie kuchni przed snem. Niezależnie od tego, o jakiej porze wieczoru czy nocy, niezależnie od samopoczucia i o jaki bałagan chodzi. Czy tylko po nas dwóch, czy po większej ilości gości. Mojej siostrze powiedziałam kiedyś, że jeśli pewnego poranka zejdzie do kuchni i zastanie ją niewysprzątaną na glanc, to znaczy, że umarłam. I tego się trzymam. Ale ponieważ w gruncie rzeczy nie lubię sprzątać, staram się utrzymywać porządek, a nie sprzątać.

Dlatego odkładam wszystko na swoje miejsce, i nie byle jak, a jak się należy, równiutko. Gotując... aha, bo ja też zazwyczaj gotuję, acz nie żeby regularnie (patrz wyżej), ale akurat gotować lubię, dla nas, dla gości, różne, najczęściej dość wymyślne potrawy, bo jak już gotować, to niby czemu się powtarzać? Przy tej ilości przepisów, możliwości?

Kto mnie zna, ten wie, że robię też różnego rodzaju eksperymenty i zabawy. Na przykład kolacja cała w kolorze białym, lub zielonym, lub czerwonym... kiedyś pewnemu mojemu kochasiowi podałam całą kolację (pożegnalną) na czarno, nawet makaron był czarny. A gotując tak sobie organizuję pracę, że zarazem zmywam naczynia, lub od razu wkładam je do zmywarki (na szczęście mamy zmywarę).

Z tego też powodu, że wszystko ma swoje miejsce, odkładam wszystko od razu, tam gdzie być powinno i tym chytrym sposobem nie muszę się za niczym rozbijać, zazwyczaj dokładnie wiem co gdzie jest. Pod tym względem moja siostra jest dokładnie moim przeciwieństwem, najchętniej rozrzuciłaby wszystko wokół siebie, a jak się już nie da wytrzymać i nie wiadomo, gdzie wszystko poginęło, urządzałyby Wielkie Sprzątanie.

Trochę to trwało, zanim się zgrałyśmy. Kompromis wygląda tak, że ona bałagani w swoim pokoju i w kuchni, ja pilnuję porządku w reszcie domu i dopilnowuję, żeby nie bałaganiła gdzie popadnie, a kuchnię i tak sprzątam na koniec dnia. W tym sensie można powiedzieć, że moja siostra ma swoją swobodę i służbę w mojej osobie, ja zaś mam porządek i królewską władzę. To dobry układ dla nas obu, inaczej przepadłybyśmy z kretesem.

Zdarzyło mi się już zerwać z pewnym ukochanym, bo wyjeżdżając zostawiłam (nasze mini mini) mieszkanie jak w pudełeczku, a gdy - przynaję, niespodziewanie - zjechałam wcześniej niż się zapowiadałam i zastałam pustą chatę po ciężkiej pijackiej nocnej imprezie, poszłam za nim do teatru (bo to aktor był, oprócz tego, że pijak, ale, uwaga, nie mam pretensji, artyści to niełatwy materiał na partnera, wiem coś o tym, bo sama siebie uważam za artystkę, w jakimś sensie przynajmniej, tyle że pijącą nienałogowo), wyklepałam go z próby i wypowiedziałam mu miłość po czym wróciłam skąd przyjechałam, a była to było nie było zagranica.

A propos zagranicy. Często w całym moim życiu żyłam na dwa, a nawet trzy domy. W dwóch stolicach, dawnej i aktualnej, Krakowie i Warszawie, w trójkącie Zurich - Kraków - Berlin (wtedy był to Berlin Zachodni), w ciągłej huśtawce na różnych łódkach (jachtach) na morzu i na lądzie, krążąc między portem na Elbie, mieszkaniem w Zurichu i mieszkaniem w Krakowie, między zakotwiczeniem w Via Reggia i w Zurichu, i znów w trzech miejscach Kraków - Sztokholm - mała wyspa na Bałtyku.

Teraz latem bywam więcej w Krakowie, ale wiosną, jesienią i zimą jeżdżę między Krakowem a Zurichem i pewną wioską pod Zurichem, gdzie zatrzymuję się u przyjaciółek. Wtedy oczywiście mój dzień powszedni wygląda nieco inaczej, bardziej wychodnie i towarzysko, choć wszędzie sprzątam kuchnię przed snem, żeby rano robić sobie kawę w dobrym humorze.

Wieczorami, o ile nie mam lub nie idę w gości, oglądam (sama albo wraz z siostrą, jedną czy drugą, czy trzecią przyjaciółką) telewizję, a tam najchętniej publicystykę, filmy dokumentalne i thrillery, i dobre SF. Nie ma to jak wciągający dreszczowiec z trzymającą w napięciu zagadką lub odlotowy film SF. Wtedy mam najciekawsze sny.

Czasami sny mam tak ciekawe, że je sobie zapisuję, pełna fabuła. Cóż, odkąd moje życie erotyczne przeniosło się w sferę snów, zdana jestem na fantastyczną pamięć i fantazyjną podświadomość. Jak na razie mnie nie zawodzą. Tłumaczę sobie to tym, że przechowuję w pamięci wystarczająco dużo materiału z własnego życia, oraz cudzych

książek i filmów. Flirty w snach mają tę zasadniczą cechę, że pozostają w nich młoda. I tak rano, gdzie bym się nie obudziła, robię sobie pierwszą kawę w dobrym humorze o ile kuchnia jest wysprzątana o co staram się zadbać, choćby podpierając się nosem. Czy to znaczy, że jestem zdyscyplinowana?

W biografii Elżbiety II przeczytałam, że królowa jest niezwykle zdyscyplinowana. Jasne, musi być, przecież cały dwór dba o to. Czy ona kiedyś musiała się sama z siebie budzić, sama sobie robić owsiankę, sama sprzątać kuchnię przed snem, żeby rano wejść na posprzątane? W jej sytuacji byłabym z pewnością równie zdyscyplinowana, chodziłabym jak po torach. Tylko czy ja chciałabym chodzić jak po torach? Czyż nie wolę być Elżbietą Wielką w swoim małym królestwie, o które wprawdzie muszę sama zadbać, ale nikt mi nie wjeżdża do łóżka z owsianką? Nawet królowa ma swoje ograniczenia i nawet ja mam swoją strefę wolności. Tyle że nikt nie wybiera sobie swojego losu. Ani ja. Ani królowa.